

Szkoła Brody Duże

Naukę rozpocząłem w Szkole Powszechnej w Brodach dużych w 1936 roku mając 6 lat i 3 miesiące. Nie miałem wymaganych siedmiu lat, ale za rok miałbym ponad siedem. W tej samej sytuacji był też syn kierownika szkoły pana Pawła Kopyciaka—Marian, młodszy ode mnie o niecały miesiąc.



Szkoła w Brodów Dużych „od tyłu” z mieszkaniem kierownika szkoły. Pierwsze okno z lewej strony na piętrze—kancelaria.

Szkoła była nowa, wybudowana w 1929 r., jednopiętrowa z dużymi, widnymi klasami, sporą salą gimnastyczną i dwupokojowym plus kuchnia mieszkaniem. Wokół szkoły znajdował się ponad hektarowy ogród słabo uprawiany przez mieszkańców przyszkolnego domu. Mieszkanie zajmował pan Paweł Kopyciak kierownik szkoły wraz ze swoją żoną Apolonią, też nauczycielką i synami: Marianem moim rówieśnikiem i o kilka lat młodszym Andrzejem. P. Kopyciak był ciężko chory na astmę, za każdym oddechem wypuszczał powietrze z płuc z głośnym sapnięciem. Legionista, porucznik ułanów pułkownika Beliny. Myślę, że tylko z powodów zaawansowanej astmy nie zrobił kariery, jaką robili byli legioniści. Większość czasu, poza lekcjami, spędzał w kancelarii znajdującej się na pierwszym piętrze szkoły. Zapamiętałem go zawsze siedzącego nad szklanką herbaty, palącego papierosa w szklanej fince w dziwny sposób- po każdym zaciągnięciu się robił ruch polykania, a potem wypuszczał dym nosem.

W kancelarii trzymał p. Kopyciak szablę, pamiątkę z wojska, którą od czasu do czasu oglądaliśmy z Marianem. Miał też i pistolet, z którego raz przypadkowo wystrzelił w korytarzu domu. Zamiast przekleństwa mówił zarrrraza. W kieszeni nosił, zwinięty w kółko pół centymetrowej grubości rzemień, którym bił po łapach niesfornych uczniów. Karany uczeń musiał wyciągnąć przed siebie rękę, dłonią do góry i na ta dłoń spadało uderzenie. Robił to nie często i nie słyszałem, aby ktoś miał o to do niego pretensje. Był człowiekiem energicznym, ale zrównoważonym i sprawiedliwym.

Był agnostykiem. Wg programu pierwszą lekcję zaczynało się, a ostatnią kończyło modlitwą. Do dzisiaj widzę i słyszę, gdy wypadało mu zaczynać lub kończyć lekcje, jak prawie żołnierskim głosem każe wstać do modlitwy, kładzie lewą rękę na piersi, a prawą robiąc szeroki znak krzyża głośno i dobitnie rąbie jak rozkazy z odpowiednimi przerwami pomiędzy poszczególnymi słowami: w imię ojca i syna i ducha świętego amen. Zapamiętałem może dlatego te dłonie, gdyż miał nieproporcjonalnie duże i bardzo wypukłe paznokcie. Był ogólnie szanowany. Niestety astma, na którą nie było wówczas lekarstwa, doprowadziła go do śmierci w okolicach sześćdziesiątego roku życia.

Bardzo często bywałem w ich domu przyjaźniąc się z synem Marianem. Mieli państwo Kopyciakowie radio lampowe na baterie, z dużą tubą- cud techniki tamtych czasów. Pamiętam, jak wraz z moimi rodzicami, słuchaliśmy kiedyś koncertu Kiepury.

Personel nauczycielski uzupełniała pani Antonina Budkowska, stara panna, koleżanka pani Kopyciakowej z lat dziecięcych i szkolnych. Obie pochodziły z pięknej miejscowości położonej w Karpatach Wschodnich- Skole k/Drohobycza, dzisiaj na Ukrainie. Pani Budkowska, nie posiadając własnej, żyła rodziną p. Kopyciaków. Pomagała pani Kopyciakowej w prowadzeniu domu i kochała miłością często w tym wieku nieodwzajemnianą, obydwu jej synów. W późniejszym wieku stopniowo traciła słuch. Po przejściu na emeryturę wyjechała do Krakowa do siostry. Byłem jej pupilkiem w klasie. Później zawsze bardzo życzliwie dowiadywała się o moim losie i do końca swojego życia przesyłała mi życzenia świąteczne. Ze wstydem muszę przyznać, że niezbyt często odwzajemniałem się tym samym i dzisiaj żałuję, że nie poświęciłem trochę więcej uwagi doskonałej nauczycielce i człowiekowi, który prawdopodobnie pragnął ludzkiego uczucia.

Na terenie szkoły, w rogu przy drodze do wsi przylegając do pierwszych zabudowań, stał duży drewniany budynek z ogromnym gontowym dachem, i gankiem. Już nieużywany z oknami zabezpieczonymi okiennicami. Był to budynek starej karczmy.

Na pierwsze moje wakacje w 1937 r. pojechałem, do rodziny mojej mamy, do Sokala. Z tamtego pobytu zapamiętałem tylko, że dziadek Bielański zabrał mnie na jakiś festyn, lub może odpust na łąki nad Bugiem blisko słynnego klasztoru bernardynów, gdzie wieczorem puszczano fajerwerki. Najdokładniej pamiętam to, że dał mi 50 groszy, co stanowiło fortunę, gdyż można było za to kupić 10 lodów w rożku.

1września 1939 r. rozpocząłem naukę w czwartej klasie. Niedługo po zajęciu Polski przez Niemców warunki nauki w szkołach znacznie się pogorszyły. Zamknięto szkoły średnie i wyższe, a w szkołach podstawowych wyeliminowano z nauki historię, geografie i książki do polskiego. W miejsce tych ostatnich wprowadzono periodyk „Ster” zawierający tylko podstawowe zasady gramatyki, ortografii i w bardzo ograniczonym zakresie literaturę.

Zakazano wypożyczania dzieciom książek z biblioteki. Pani Budkowska, która bibliotekę prowadziła, nadal po cichu wypożyczała mi książki w dużych ilościach. Bez książek nie mogłem żyć.

Wkrótce w mieszkaniu państwa Kopyciaków zorganizowano tajne nauczanie. Tam uzupełnialiśmy program z języka polskiego, historii, geografii itp. Uczęszczało nas czworo: ja, Marian Kopyciak, Jadzia Dąbrowska córka zawiadowcy odcinka drogowego PKP, oraz Aleksander Wójcik syn kasjera stacji PKP.

W Brodach Dużych żyło sporo, osiedlonych tam przed 200 laty, niemieckich rolników- kolonistów (Mezger, Beker, Albinger, Lembrych, Berlin, Tukendorf itp). Zmuszono ich do podpisania folkslisty. Niektórzy jednak uparli się i pomimo ogromnego nacisku gestapo listy nie podpisali, np. gajowy Lotz, Milbrant ze Zwierzyńca- urzędnik Ordynacji Zamojskiej, działacz endecji i kolega mego ojca, najmłodszy z braci Albingerów, nauczyciel Tukendorf i inni.

Naszą szkołę zabrano na potrzeby dzieci folksdojczów, a uczyli ich przyjezdni niemieccy nauczyciele. Polska szkoła została rozparcelowana. Dwa pomieszczenia dał w dawnym dworze Michał Dawid, a jedno było u nas w Szlakówce.

Kopyciaków z mieszkania nie usunięto, ale zabrano kancelarię, w której urządził się dwudziestokilkuletni esesman Kitzman, przyjezdny folksdojcz z tytułem dorffuhra, wodza wsi. Był to człowiek, co najmniej niezrównoważony. Z kancelarii zrobił twierdzę, a dodatkowo oddzielił od szkoły schody na strych, znajdujące się obok kancelarii, i tam, na strychu, zrobił twierdzę zapasową. Jeździł na rowerze z karabinem na plecach i z pistoletem w ręku, co mu wybitnie przeszkadzało w trzymaniu kierownicy. Przyczynił się do śmierci najmłodszego Jóźwiakowskiego, syna pracownika rzeźni, pospolicie zwanej szlachtuzem, który mieszkał wraz z rodziną w niewielkim domku, dzisiaj już nieistniejącym, nad rzeczką Świnką. Któregoś dnia pilnowałem krowy (najlepsza w świecie zajęcie do czytania książek), na łące położonej po lewej stronie drogi idącej od Szlakówki do Szczebrzeszyna. Czytając książkę nie zauważyłem, że z Brodzkiej Góry przyszedł do mnie o kilka lat ode mnie starszy, najmłodszy z Jóźwiakowskich, Zdzisław. Przysiadł i zaczął dopytywać się o pewnego folksdojczę, którego kilka dni temu postrzelił koło lasu. Powiedziałem mu, że ma się coraz lepiej. Zaczęliśmy jeszcze o czymś rozmawiać, kiedy zobaczyliśmy Kitzmana pędzącego na rowerze do miasta. Zdzisław jakby tknięty przeczuciem powiedział: wiesz ja już pójdę, i oddalił się w kierunku najmniej spodziewanym, mianowicie w kierunku nielicznych krzaków rosnących na łące (dzisiaj już cały las) za wsią Brody Małe. Za kilka minut zobaczyłem ponownie Kitzmana w towarzystwie kilkunastu Kałmuków (własowcy z garnizonu szczebrzeskiego) pędzących na koniach. Cała ta kawalkada ruszyła za jeszcze widocznym Zdziśkiem i zastrzeliła go. Niedługo potem przeniesiono Kitzmana do Sułowa, gdzie został zlikwidowany z wyroku władz podziemnych.

Moja edukacja w szkole podstawowej zakończyła się w czerwcu 1942 r. ukończeniem szóstej klasy. Gimnazjum było zamknięte zacząłem uzupełniać wiedzę w inne, różne sposoby. Dojeżdżałem rowerem, chodziłem piechotą (8 km), a nawet częściowo mieszkalem w Zwierzyńcu u państwa Milbrantów, gdzie ich syn student politechniki warszawskiej, przygotowywał mnie wg programu pierwszej gimnazjalnej z zakresu matematyki, fizyki i chemii.

Wiosną 1944 r. ojciec zawiózł mnie do Zakłódzia do Gałęzowskich (młynarzy- jego żona była powinowatą ojca), u których mieszkałem chodząc do tajnego gimnazjum Ojców Bernardynów w Radecznicy. Piszę tajne, ale naprawdę każdy o nim wiedział. Nauka odbywała się, jak w każdej szkole w klasach, z godzinami lekcyjnymi, z dzwonkiem na przerwy itd. Od dłuższego czasu Radecznicą otoczona bagnami nie widziała Niemców. Samochodami nie mogli tam dojechać, a piechotą nie ryzykowali, bo teren był pod kontrolą partyzantów. Trudno dzisiaj uwierzyć, że do Radecznicy prowadziły wtedy tylko polne drogi przez bagna, konsystencją przypominające miękką gumę. Podczas jazdy furmanką droga już kilkadziesiąt metrów przed końmi zaczynała się uginać, a pod samą furmanką była niższa chyba o metr od jej normalnego poziomu. Za furmanką zaczynała się stopniowo podnosić, i wracała do normalnego położenia. Czegoś takiego nie widziałem nigdzie indziej.

Radecznicą była nazywana wolną Republiką. Pamiętam, że 3 maja obchodzono hucznie święto narodowe, w którym brało udział Gimnazjum. A przecież wciąż trwała okupacja. Tak samo było bezpieczne od Niemców Zakłódzie, a ponieważ Gałęzowscy byli bogaci i mieli na wydaniu śliczną córkę Różę, dom bez przerwy był nawiedzany przez partyzancką wierchuszkę. Wytrzymałem tam zaledwie kilka tygodni i zabrałem się do lasów Roztocza z przechodzącym akurat przez Radecznicę oddziałem por „Doliny”.